

MARGINESY

Pra

IWASZKIEWICZOWIE

Opowieść o rodzinie

Ludwika

Włodek



COPYRIGHT © BY Ludwika Włodek

COPYRIGHT © BY Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2021

WSTĘP DO DRUGIEGO WYDANIA

Dziś już nie napisałabym takiej książki jak *Pra*. Nie miałabym jak. Po latach widać, że zabrałam się do niej w ostatnim możliwym momencie. Był koniec 2010 roku, dokładnie dekadę temu zaczęłam zbieranie rodzinnych wspomnień, których efektem jest *Pra*. Obie córki Jarosława, moja babcia Marysia i jej siostra Teresa, były wtedy jeszcze w świetnej formie intelektualnej. Rozmawiając z nimi wówczas, nie zdawałam sobie do końca sprawy, jak ogromny mam przywilej.

Przywilej i szczęście, że mogę ich wysłuchać, że są ze mną szczerze, że dzielą się ze mną intymnymi wspomnieniami. Mam wrażenie, że powiedziały mi rzeczy, których nigdy wcześniej publicznie nie mówiły, na przykład o tym, jak rodzice byli rozczarowani ich związkami, jak ojciec niesprawiedliwie je osądzał, z moralnego punktu widzenia, podczas gdy, jak to ujęła moja babcia, „sam robił rzeczy dużo bardziej niemoralne”. A najważniejsze jest dla mnie to, że nic mi z tej książki nie kazały wykreślić, niczego nie chciały zataić. Zwłaszcza babci oddałam wydruk z drżeniem serca. Bałam się, że, choć starałam się być delikatna wobec niej, przeczytawszy go, obrazi się na mnie. Po dwóch dniach zadzwoniła do mnie i powiedziała:

– Przeczytałam. To jest bardzo dobre.

Miała tylko kilka nieznaczących uwag, które dziś mnie bawią. Na przykład że nie mogę porównywać domu Teresy w Rze-

piskach do Stawiska, bo „na Stawisku bywała elita intelektualna Polski”. Najważniejsze jednak, że nie chciała, żebym wyrzuciła fragmenty dla niej na pewno trudne, o jej relacji z dziećmi, o jej nieudanych małżeństwach czy jej stosunkach z rodzicami, które przecież nie przedstawiały się tak różowo, jak to może wyglądać po lekturze kilku okolicznościowych wywiadów, jakich udzieliła kolorowym pismom.

Tej odwagi intelektualnej Teresa i Marysia dowiodły także przy publikacji dziennika ojca. Jego wydanie zbiegło się z moją pracą nad *Pra*. W tamten tekst też nie ingerowały, zdecydowały się go wydać bez jednego nawet skreślenia, co musiało być dla nich próbą charakteru.

Ile moja babcia zrobiła dla popularyzacji twórczości ojca, rozumiałam, dopiero kiedy przejęłam od niej część tych obowiązków. Już wiele lat po ukazaniu się *Pra*. Przejęcie to nastąpiło, bo zdaliśmy sobie rodzinnie sprawę, że forma intelektualna babci zaczyna podupadać. Najpierw jednak pogorszył się stan Teresy.

Jeszcze zanim książka wyszła, ale jak już była napisana, kontakty z nią stały się trudniejsze. Bywały dni, kiedy miała świetny nastrój: wesoła, zgryźliwie dowcipna po swojemu, ale bywały takie, kiedy zapadała się głęboko we własne myśli i trudno nawiązywała porozumienie z otoczeniem. Z wydanym *Pra* przyszedłam już do niej do szpitala, późną wiosną 2012 roku. Umarła kilka tygodni później.

Dzień jej pogrzebu, na samym początku lipca, był chyba najgorętszym dniem tamtego lata. Pamiętam, jak staliśmy wszyscy na cmentarzu w Brwinowie, nie do końca jeszcze rozumiejąc, co się stało, a po całym cieple spływały mi strużki potu. Teresa pochowana jest w grobie swojej matki chrześnej, tak zwanej cioci Maniusi, i spokrewnionej z nią swojej praprababki Anieli Petzoldt. W książce opisuję tragiczny los Anieli, która nie chciała wychodzić za starego Petzoldta,

a w młodości kochała się w poecie romantycznym Bohdanie Zaleskim.

W zeszłe wakacje odkryłam, że ten sam Zaleski bywał częstym gościem na dworze Tetmajerów w Łopusznej. Miał tam nawet swój mały domeczek, zwany od jego pseudonimu Gackiem. Dwór położony jest pół godziny jazdy od domu Teresy w Rzepiskach, na Spiszu. Niby nic nieznaczący zbieg okoliczności, ale jakoś lubię takie zbiegi. Pokazują złożoność świata i gęstość występujących w nim wzajemnych powiązań. Bawią mnie, być może czasami aż nadto, bo część czytelników skarżyła się, że książka *Pra* bywa miejscami skomplikowana ze względu na liczbę przewijających się w niej osób i powiązania między nimi. Nie zamierzam jednak tego zmieniać. Odkrywanie kto, z kim, kiedy i przez kogo, jest chyba właśnie w pisaniu, a potem także w czytaniu historii najciekawsze.

Babcia dzielnie się jeszcze trzymała przez kilka lat po śmierci młodszej siostry. Jej stan pogarszał się powoli. Byłam zdziwiona, kiedy pewnego razu przyznała, że nie pamięta jakiejś kwestii, którą jeszcze kilka lat wcześniej opisywała mi z najdrobniejszymi szczegółami, właśnie na potrzeby *Pra*.

Na dobre zrozumieliśmy, że babcia się posunęła (jak to się u nas w rodzinie określało), kiedy zaczęła nam, odwiedzającym ją w jej mieszkaniu na Ursynowie, opowiadać, że cała dzielnica jest przebudowywana, że ona ciągle słyszy huk młotów pneumatycznych, a wieczorami awantury wszczynane przez pracujących przy budowie robotników, którzy są zakwaterowani w jej bloku. Zapewniała nas, że robotnicy urządzają sobie popijawy i śpiewają na cały głos *Wróc do Sorrento*. Wstyd się przyznać, bo sprawa dotyczy jednak nieszczęścia mojej kochanej babci, ale wizja robotników budowlanych śpiewających na cały głos kliwy przebój Anny German śmieszy mnie do łez.

Umarła pod koniec marca 2019 roku. Wraz z nią odeszła cała epoka. Niektóre historie, pamięć o pewnych osobach, szczegółach z życia własnego i innych zabrała ze sobą do grobu. Cieszę się, że część tego, co przeżyła i zapamiętała, udało się jednak ocalić. Na przykład w zredagowanych przez Agnieszkę Papieską *Portretach*. Ale też właśnie w *Pra*.

W 2017 roku odeszła także inna moja informatorka, Zosia Dzięcioł. Nie umiem myśleć o niej inaczej jak o członkini naszej rodziny. Zaczęła pracować na Stawisku jako młoda dziewczyna, a mieszkała tam jeszcze długo po śmierci moich pradziadków, póki sama nie umarła. Bez niej ten dom nie jest tym, czym był wcześniej. Razem z jej śmiercią pękła ostatnia nić łącząca żywe Stawisko ze Stawiskiem muzeum. Do dziś nie mogę się pogodzić z tym, że już jej tam nie ma.

Pra, oprócz tego, że jest moją rodzinną historią, jest także świadectwem. Razem z losami Iwaszkiewiczów, ich przyjaciół, krewnych i znajomych opowiada kawałek dziejów. Odzwierciedla też, siłą rzeczy, nie tylko klimat czasów, o których opowiada, ale również tych, w których powstało. Dziś, po dziesięciu latach, pewne rzeczy napisałabym zapewne inaczej. Inaczej rozłożyłabym akcenty, co innego bardziej zajęłoby moją uwagę. Są to głównie rzeczy związane z moją osobistą sytuacją i nastrojem, tak dziś, jak i wtedy, i jako takie dla szerszego grona czytelników nie mają większego znaczenia.

O tym, że niektórym sprawom powinnam była poświęcić może bardziej wyczerpujący komentarz, wiem dopiero dzięki reakcjom na *Pra*. Na pewno należało wyraźniej podkreślić, jak brzydzi mnie pasja łowiecka, której oddawał się mój prapradziadek Stanisław Wilhelm Lilpop, a także wcześniej jego teść Władysław Stankiewicz. Oczywiście polowanie wtedy było trochę czym innym niż dziś. W przypadku mojego prapradziadka na pewno pełniło ważne funkcje społeczne. Polując, jednał się ze światem ziemian, a nawet arystokratów, do których pasował

majątkiem, ale od których odstawał pochodzeniem. Myślę, że polowanie było dla niego jednym ze sposobów, by tę różnicę zamazać. Koniec XIX wieku widział wiele takich awansów społecznych ludzi wywodzących się z burżuazji. Bogacąc się, przejmowali zwyczaje ziemiaństwa: kupowali majątki na wsi, polowali, jeździli do wód. Powoli, dzięki zmianie stylu życia na ten charakterystyczny dla klas, do których aspirowali, mieszczanie tacy jak Lilpopowie zmniejszali przepaść, jaka jeszcze kilka pokoleń wcześniej dzieliła ich od arystokracji. Stawisko, mimo że było domem zbudowanym przez mieszczanina, wygląda jak typowa rezydencja ziemiańska. Trofea myśliwskie, które niestety po dziś dzień szpecą tamtejsze wnętrza, są elementem tego snobowania się na szlachtę. Warto jednak pamiętać, że ani Jarosław, ani Anna Iwaszkiewiczowie nie mieli z ich tam pojawieniem się absolutnie nic wspólnego. Wszystkie te biedne zwierzęta zamordował bowiem fundator domu, ojciec Anny i teść Jarosława, mój prapradziadek. Dziś te trofea są świadectwem tamtej epoki, odzwierciedleniem pewnych procesów społecznych, które przykład mojej rodziny doskonale tłumaczy. Na pewno jednak nie mogą stanowić argumentu we współczesnej dyskusji na temat zasadności łowiectwa, w której ja opowiadam się zdecydowanie po stronie zwierząt, nie myśliwych.

Jest jeszcze jedna rzecz, której teraz z pewnością poświęciłabym więcej miejsca: homoseksualność mojego pradziadka. Właśnie ze względu na to, że obecna atmosfera wokół osób homoseksualnych, i szerzej LGBT+, jest inna, niż była dziesięć lat temu. To, co kiedyś wydawało mi się tylko bardzo prywatną sprawą Jarosława Iwaszkiewicza i jego najbliższych, dziś na skutek nagonki, jaką obóz rządzący i powolne mu media oraz część hierarchów Kościoła katolickiego urządziły na osoby homoseksualne, stało się kwestią publiczną i wartą omówienia. Przekonała mnie o tym wizyta w Szczecinie jesienią 2020 roku

i reakcje na wpis na Facebooku, jaki temu wydarzeniu poświęcałam. Zdobył blisko tysiąc lajków i dwieście udostępnień. Nigdy żaden inny mój wpis nie był tak popularny. Myślę, że to, o czym w nim piszę, zainteresuje też czytelników *Pra*, dlatego przytaczam go w całości.

Kiedy napisała do mnie Monika Tichy, szefowa Lambda Szczecin, z pytaniem, czy nie przyjechałabym wziąć udziału w ponownym odsłonięciu muralu upamiętniającego miłość Iwaszkiewicza do Błeszyńskiego, poczułam najpierw zdziwienie, a potem wzruszenie. Nigdy wcześniej nikt w tym kontekście, w kontekście homoseksualności Iwaszkiewicza, nie proponował mi, żebym zabierała głos.

Może uważano, że dla mnie jako prawnuczki pisarza to temat trudny czy wręcz wstydlivy. W rzeczywistości wstydlivy na pewno nie jest. Trudny oczywiście tak, tak jak trudne są wszystkie tematy związane z życiem intymnym bliskiej rodziny, zwłaszcza jeśli w grę wchodzi niewierność.

Wbrew temu, co sugerowała na przykład Ania Król w swoim wstępie do listów Iwaszkiewicza do Błeszyńskiego, pisząc: „Ani dzieci Iwaszkiewicza, ani inne osoby z najbliższego otoczenia nie chcą wracać w rozmowie do tamtego czasu. Żadnych opisów, wspomnień, drobnych opowieści. Jakby człowieka [chodzi o Błeszyńskiego] nigdy nie było”, ani temat homoseksualności ogólnie, ani temat Błeszyńskiego konkretnie nie był w mojej rodzinie tabu.

Sama wielokrotnie rozmawiałam z moją babcią Marią Iwaszkiewicz, z jej siostrą Teresą i z moim tatą, Maciejem Włodkiem, na ten temat. Moja babcia chciała wydać listy Iwaszkiewicza do Błeszyńskiego, miała już nawet podpisaną umowę w tej sprawie z Zeszytami Literackimi.

Wydała te listy ostatecznie jednak Anna Król ze względu na uchybienia formalne, jakich dopuściła się moja babcia, podpisując umowę z Zeszytami. Zadziałała tu nieznamość prawa, niezrozumienie umowy agencyjnej podpisanej z wydawnictwem Czytelnik, a nie niechęć do upubliczniania treści listów.

Przecież to nikt inny jak właśnie moja babcia i Teresa zdecydowały kilka lat wcześniej o tym, żeby dzienniki Iwaszkiewicza wydać bez ani jednego skreślenia. W tomie drugim tych dzienników pisze Iwaszkiewicz o Błęszyńskim bardzo dużo i bardzo szczerze. Nie szczędząc żadnych intymnych szczegółów niepozostawiających wątpliwości co do charakteru ich związku. Jedną ze spędzonych z Jurkiem Błęszyńskim nocy Iwaszkiewicz opisywał tak:

„Jurek zasnął oczywiście zaraz, a ja nie mogłem spać, czując to piękne, a przede wszystkim kochane ciało obok siebie. Przed zaśnięciem Jurek się tak przytulił (głową), jak dziecko do matki, a potem spał, nie budząc się, do rana. [...] Chuda, owłosiona noga Jurka (nie ma ładnych nóg i w owłosieniu ich wyraża się gruźlicze usposobienie), którą w pewnym momencie poczułem przy sobie, nie wzbudzała we mnie ani wstrętu, ani żadnych pożądań, tylko ogromną miłość do cierpiącego człowieka i żalność nad wspólnym naszym losem”^{*}.

Po lekturze takich fragmentów nikt chyba nie może sądzić, że była to jedynie przyjaźń, męska fascynacja czy jakie tam jeszcze eufemizmy stosuje się do homoseksualnej miłości (cielesnej i duchowej zarazem).

^{*} Wszystkie cytaty z dzienników za: Jarosław Iwaszkiewicz, *Dzienniki 1911–1955*, tom I, oprac. i przyp. A. i R. Papiescy, Warszawa 2007; *Dzienniki 1956–1963*, tom II, oprac. i przyp. A. i R. Papiescy, R. Romaniuk, Warszawa 2010; *Dzienniki 1964–1980*, tom III, oprac. i przyp. A. i R. Papiescy, R. Romaniuk, Warszawa 2011.

Jeśli moja babcia, czy ktokolwiek inny z rodziny, kiedykolwiek odmówiła odpowiedzi na pytania związane z życiem intymnym swojego ojca, to zapewne dlatego, że były to pytania głupio postawione, a nie dlatego, że wstydiła się przyznać do tego, że Jarosław Iwaszkiewicz sypiał z kimkolwiek poza swoją żoną Anną.

Homoseksualność Iwaszkiewicza jest sprawą powszechnie znaną. Można o niej przeczytać w kilku poświęconych mu książkach (na przykład w *Innym życiu* Radosława Romaniuka czy w mojej *Pra*), a także w tych napisanych przez niego samego. Oczywiście za życia Iwaszkiewicza nie wychodziły jego dzieła, w których otwarcie przyznawałby swoją homoseksualność, ale też specjalnie jej nie ukrywał. Każdy, kto czytał opowiadania *Nauczyciel* czy *Wzlot*, musiał rozumieć, że autorowi doświadczenia homoseksualne nie są obce.

O homoseksualności męża wiedziała, i to przed słu-
bem, jego żona, a moja prababcia, Anna Lilpop, potem Iwaszkiewiczowa. Czy było to dla niej trudne? Myślę, że na pewno czasami tak. Czy jest to jednak powód, żeby ze względu na nią, ze względu na pamięć o niej, jak sugerowała jedna osoba pod moim wpisem o podróży do Szczecina, o tym nie mówić?

Na pewno nie. Od zamiatania pod dywan sprawy nie stają się prostsze czy mniej bolesne.

Anna i Jarosław Iwaszkiewiczowie nie żyją od ponad 40 lat. Ich małżeństwo było jedną z piękniejszych historii, także historii miłosnych, w dziejach polskiej kultury. Nie było „przykrywką”, jak sugerowało i nadal sugeruje wielu postronnych obserwatorów. Nie widzę jednak powodów, żeby na siłę udawać, że nie było w tym małżeństwie problemów, spraw trudnych i niewierności. Ileż było niewierności w różnych znanych małżeństwach heteroseksual-

nych. A jakoś nikt nie obejmuje ich takim tabu ze względu na „pamięć o żonie”.

Nie wiem, jak wyglądałoby życie moich pradziadków w innych czasach, czasach, których niestety jeszcze w Polsce nie dożyliśmy, czyli bez homofobii. Być może nigdy by się nie pobrali. A może jednak tak. Trudno nasze dzisiejsze myślenie o świecie nakładać na wydarzenia sprzed stu lat.

Jedno jest dla mnie oczywiste: homoseksualności znanych osób nie należy ukrywać, homoseksualnych związków nie należy eufemistycznie nazywać przyjaźniami. Zwłaszcza teraz, w dobie tej ohydnej nagonki na osoby LGBT+, w czasie gdy w kościołach i w mediach publicznych trwa kampania nienawiści przeciwko wszystkiemu, co wychodzi poza heteronormatywne standardy.

O uczuciach, także tych przykrych, jak poczucie osamotnienia, odrzucenia, zawodu, należy mówić. Miłość ma różne formy, każda ma w sobie elementy piękne, ale też okrutne. Jest w miłości również element pychy, egoizmu, nawet przy jednoczesnym poświęceniu i oddaniu. Kochając jednych, krzywdzimy drugich. Ogrom tych wszystkich uczuć na pewno jednak nie mieści się ani w szafie, ani pod dywanem.

Dlatego tak bardzo jestem wdzięczna Lambdzie Szczecin i Trafostacji Sztuki za ten mural i za dyskusję, jaka odbyła się po jego odsłonięciu. Oby więcej takich pomysłów, oby więcej takich rozmów.

Kilka dni po opublikowaniu powyższego wpisu w folderze „Inne” znalazłam wzruszającą wiadomość. Jej fragment też przytaczam, za zgodą autorki.

[...] Iwaszkiewicz to patron mojej szkoły. I chyba jedyny, który wydaje mi się człowiekiem z krwi i kości, a nie od-

ległą figurą, którą to niby się lubi, ale tak naprawdę średnio jest się nią zainteresowanym. Pomijając moje zainteresowanie historią wieku XX, naprawdę cytaty z jego tekstów z miejsca uznałam za przepiękne. Mamy u nas w szkole uczniów LGBT+. Jednych znam, innych nie, sama do tego grona także należę. I o ironio, homofobicznych katechetów fanatyków. Różne cytaty na lekcjach padały. Sama wywalczyłam wypisanie się z zajęć, bo nie mogłam słuchać bzdur o tym, że jeżeli nie ma się ojca, to ma się zaburzone poczucie bezpieczeństwa, czy o tym, że płeć jest jak elektrony i tylko elektrony ujemne oraz dodatnie (pomijając fakt, że to ładunek, który jest tylko ujemny) się przyciągają. I to naprawdę jest dla mnie ogromna ironia. Mam wrażenie, że ci ludzie w ogóle nie znają życiorysu Pani pradziadka. A mnie jakoś ta świadomość, jakiego mam patrona, krzepi.

Listów po opublikowaniu *Pra* dostałam mnóstwo. W tym miejscu mam okazję za nie wszystkie bardzo podziękować. Także za te, na które nigdy nie byłam w stanie odpowiedzieć. Ludzie pisali do mnie o własnych przodkach, często zapewniała, że moja książka stała się dla nich inspiracją do zgłębienia historii ich rodzin. Inni chwalili się autografami Iwaszkiewicza złożonymi na wyczytanych egzemplarzach jego książek. Niektórzy posyłali mi ksero listów otrzymanych od mojego pradziadka.

Swoją drogą nie mogę wyjść z podziwu nad tym, z iloma osobami on korespondował. I nie były to przecież zdawkowe wiadomości w rodzaju tych, jakie my dziś wysyłamy sobie Messengerem, a naprawdę długie, wyczerpujące listy, czasem pisane do osób, z którymi zaledwie się minął w życiu. Nauczycielek poznanych w czasie wieczorków autorskich, młodych poetek i poetów piszących nierzadko jedynie do szuflady, a w listach proszących starszego kolegę o rady.

Od jednej pary dostałam nawet zaproszenie do willi Kadonówka w Rabce, gdzie urodził się mój tata. Ciągle z niego nie skorzystałam. Może pojedę tam z tym, drugim wydaniem *Pra*. Będzie dobre na prezent.

30 grudnia 2020, Rzepiska

URODZIŁA MI SIĘ DZIŚ PRAWNUCZKA

„Urodziła mi się dziś prawnuczka, Ludwika Włodek. Zdziwiająca” – zanotował 26 grudnia 1976 roku w dzienniku Jarosław Iwaszkiewicz. Kiedyś wiele bym dała za taki dowód pokrewieństwa. Całe dzieciństwo chwaliłam się, że mam ważnego, słynnego pradziadka, ale najczęściej albo nikogo z moich rówieśników to nie obchodziło, albo nie chcieli mi wierzyć. Raz koleżanka – do dziś się przyjaźnimy – powiedziała mi, że musi zapytać rodziców, czy to możliwe.

W szkole nauczyłam się pokrewieństwo z Iwaszkiewiczem perfidnie wykorzystywać. Na początku liceum nie umiałam zaskarbić sobie przychylności pani od polskiego. W końcu, gdy kazała napisać wypracowanie w formie wywiadu z dowolną osobą, zrobiłam wywiad z moją babcią Marią Iwaszkiewicz-Wojdowską. Tylko po to, żeby zaimponować pani moimi koneksjami. Najpierw dostałam tróję, jak za wszystkie dotychczasowe prace. Miałam jednak podejrzenia, że wypracowanie nie zostało przeczytane. Chyba słuszne, bo po paru miesiącach ta sama pani za ten sam tekst postawiła mi już szóstkę. „Taka była zaimponowano” – jak powiedziałyby Pawłowa, kucharka na Stawisku, w domu moich pradziadków.

Z czasem jednak zdałam sobie sprawę, że afiszując się pokrewieństwem ze słynnym pisarzem, doprawiam sobie gębę. Ludzi przestaje interesować, kim jestem, tylko czyją jestem

prawnuczka. Zważywszy, że chodzi o czwarte pokolenie, może to się wydawać zabawne, ale rzeczywiście spotkałam się z tym kilkakrotnie, i nie było to miłe doświadczenie.

Sama nigdy nie wpadłabym na pomysł, żeby napisać książkę o swojej rodzinie. Napisałam artykuł o młodości córek Iwaszkiewicza, czyli mojej babci i jej siostry. Ukazał się pod tytułem *Ferdynurkistki ze Stawiska* w „Wysokich Obcasach” zimą 2009 roku. Ku mojemu zaskoczeniu został bardzo mile przyjęty – choć nie wszystkim się podobał. Żaden mój tekst nie wywołał tylu komentarzy, listów od czytelników i zainteresowania kolegów z redakcji. Jak zwykle mogłam podejrzewać, że to działa magia nazwiska Iwaszkiewicz. Gdy Wydawnictwo Literackie zaproponowało mi zrobienie z rodzinnych historii książki, postanowiłam wykorzystać tę szansę. Mam, niestety, świadomość, że być może podpisałam wtedy na siebie wyrok skazujący na bycie do końca życia „prawnusią Iwaszkiewicza”. Jednak pokusa opowiedzenia po swoim historii tej rodziny była silniejsza.

Nie miałam ambicji napisania kolejnej biografii Iwaszkiewicza ani dzieła o kulturotwórczej roli Stawiska. Interesowało mnie, jaka była ta rodzina i jak życie w niej wpłynęło na najbliższe mi osoby, ze mną samą włącznie. Dlatego czasem znane i zasłużone dla kultury narodowej postacie kwituję kilkoma zdaniami, a rozpisuję się o ludziach, którzy w tekstach o Iwaszkiewiczu publicznym figurują co najwyżej w przypisach: o ojcu Anny Iwaszkiewiczowej – Stanisławie Lilpopie, jej matce – Jadwidze Śliwińskiej, czy siostrach Jarosława, tak zwanych Ciotkach.

„Dzisiaj chrzciny Ludwiki. Strasznie miła to dziecina – i jak się rozciąga to moje biedne życie przez nią. [...] przez tę długość życia objęło się taką przestrzeń historii, po prostu wierzyć się nie chce, jak się czyta o tamtych czasach”, pisał Iwaszkiewicz w dzienniku 4 czerwca 1977 roku. Ja to rozciągnięcie



Ja z Pra, czyli pradziadkiem Jarosławem,
zdjęcie zrobione w sypialni Iwaszkiewiczów, 1978.

też odczuwam. Oczywiście nie dzięki swojemu wiekowi, ale za pośrednictwem wspomnień, listów, notatek, pamiętników i dzienników różnych członków rodziny.

Większość moich rówieśników z trudem może wymienić choćby imiona swoich czworga pradziadków. Ja mogłam czytać intymne zwierzenia moich prapradziadków. To podnieca bardziej niż oglądanie reality show, gdzie występują w końcu obcy ludzie.

Pisanie tej książki było fascynujące. Także dzięki kontaktom ze wszystkimi, bez których pomocy by nie powstała. Szczególnie wdzięczna jestem członkom mojej rodziny: ojcu Maćkowi Włodkowi, ciotecznej babci Teresie Markowskiej, babci Marysi Iwaszkiewicz, ciotce Anusi Włodek i kuzynowi Michałowi Michalskiemu, za to, że podzielili się ze mną wspomnieniami

i odpowiadali na setki moich pytań oraz czytali kolejne wersje książki, poprawiając błędy i wyjaśniając nieścisłości. Serdecznie dziękuję także Zosi Dzieciół, że opowiedziała mi o życiu na Stawisku i za każdym razem, kiedy przyjeżdżałam do stawiskowskiego archiwum, dbała o mnie i mojego syna Mikołaja jak o własne dzieci. Bardzo mi pomogli pan Robert Papięski, wyszukując w muzealnym archiwum kolejne teczki z interesującymi mnie dokumentami, pani Małgorzata Zawadzka, znajdując dziesiątki zdjęć, i pani Ewa Cieślak, ustalając kilka ważnych szczegółów. Państwo Papięscy i pan Radosław Romaniuk udostępni mi niewydane jeszcze, a już odcyfrowane z rękopisu fragmenty dziennika Iwaszkiewicza. Mój daleki wuj, Alik Miszczuk z Kijowa, opowiedział mi o ukraińskiej gałęzi rodziny. Moja ciotka Doda Żakowska pozwoliła mi wykorzystać jako ilustrację swoją najcenniejszą pamiątkę – nigdzie niepublikowane zdjęcie ze ślubu swoich dziadków Bolesława Iwaszkiewicza i Zofii Zmigrodzkiej. Andrzej Biernacki rozmawiał ze mną o naszej wspólnej krewnej, mojej praprababci Jadwidze Śliwińskiej, i o swoich wspomnieniach ze Stawiska. Jacek Lilpop udostępnił mi swój referat o historii rodziny Lilpopów. Adam Michnik zgodził się opowiedzieć mi o relacjach Antoniego Słonimskiego z Iwaszkiewiczem. Mój teść, Andrzej Biernat, pomógł mi odnaleźć trop po moim dalekim przodku Petzoldcie. Moja ciotka Basia Mackiewicz pamiętała wiele ważnych szczegółów z życia rodziny Włodków. Doceniam ich pomoc i wysiłek, a także dziękuję wszystkim innym, którzy poświęcili swój czas, żeby uczynić moją opowieść o rodzinie Iwaszkiewiczów pełniejszą, mniej pretensjonalną i bardziej zabawną.

Pod koniec życia pradiadek napisał wiersz *Do prawnuczki*:

Ten kwiat co leci w górze i wieje skrzydłami
To motyl. Słowo obce, nie wiesz, co to znaczy.

Teraz nie ma motyli. Ten jest jedynakiem.
Za chwilę może i jego nie będzie.

Nie myśl o tym. Patrz, niebo jest takie niebieskie,
Po niebie chmurki lecą, to jasne, to ciemne.
Słońce co rano wstaje, co wieczór zapada.
Świat będzie zawsze piękny, Ludko. I beze mnie.

Pisał jeszcze o nim w dzienniku 4 lipca 1979 roku:

„Tak mnie interesują ci przeznaczeni na rok 2000. Jacy oni będą? Komu będą wierzyć? Czy będą wśród nich silni, mężni, mądrzy. Ilu? Jaki będzie mąż czy kochanek Ludwiki? Nigdy się nie dowiem. Pisał mi Jurek, że wiersz *Do prawnuczki* taki piękny. Cieszę się. Mam do Ludwiki wielką słabość, tak jak gdyby była moją córką. I ona też zdaje się mnie lubi. Chyba to dobrze, że będzie miała taką pamiątkę po mnie jak ten wiersz. Czy doceni?”



Z pradziadkiem na Stawisku, 1977.

Doceniam, oczywiście, że doceniam. Tylko zawsze wkurzało mnie to „Ludko”. Z zadowoleniem odkryłam, że w dzienniku jednak pisze o mnie „Ludwika”.

Ja o nim mówiłam „Pra”. Tak samo zresztą określałam prababcię Hanię i ciocię Jadwinę, czyli całą trójkę staruszków, z którymi spędziłam ich ostatnie, a moje pierwsze lata życia.

I tak mi żal, że już sobie nie pogadamy. Dokładnie tak samo jak Jarosława ciekawiło, jacy my, jego następcy, będziemy, mnie interesuje, jacy byli oni. Czy rzeczywiście tacy, jak ich sobie wyobrażam na podstawie śladów, które po nich zostały? Tego już nigdy się nie dowiem. Próbowałam ich w tej książce odtworzyć jak najpełniej, zrozumieć, dlaczego coś robili i co wtedy czuli. I takich przetworzonych, przepuszczonych przez siebie samą przekazuję dalej. Także moim synom, Witkowi i Mikołajowi, którzy, mam nadzieję, dzięki tej książce będą mogli lepiej zrozumieć, kim są.

Nowe i uzupełnione wydanie najbardziej fascynującej książki o rodzinie Iwaszkiewiczów, napisanej przez prawnuczkę Anny i Jarosława.

Ludwika Włodek poruszyła wątki dotąd przez biografów marginalizowane. Opowiedziała losy całej rodziny – aż do dzisiaj. Pokazała Iwaszkiewicza uwikłanego w sprawy żony, córek i wnuków. Rozdartego pomiędzy ukraińską przeszłością i warszawską codziennością. Zaangażowanego w sprawy publiczne i domowe. Myślącego o dalekich podróżach i tęskniącego do kochanków. Dotąd nikt z taką odwagą, a jednocześnie delikatnością nie opisał stosunków panujących na Stawisku, w domu, w którym Anna i Jarosław spędzili większość swojego długiego życia i w którym, jako mała dziewczynka, mieszkała także autorka. Rozmawiała z rodziną, a także z przyjaciółmi pisarza i jego bliskich. Czytała ich nieopublikowane listy, wspomnienia i pamiętniki. Tak powstała przejmująca opowieść: miejscami tragiczna, miejscami zabawna, pełna anegdot i obalająca wiele mitów.

Na zdjęciu są Anna i Jarosław w latach 30. na przylądku Skagen. Tam, na samym skrawku Półwyspu Jutlandzkiego, ścierają się dwa morza: Północne i Bałtyckie. Ich fale podchodzą do brzegu pod innym kątem, zderzają i rozbijają o siebie.

Ludwika Włodek – reporterka i socjolożka. Wykładowczyni na Uniwersytecie Warszawskim, specjalistka od nacjonalizmów i polityki tożsamości, zainteresowana procesami transformacji ustrojowej, dekolonizacją i migracjami, od Azji Centralnej, poprzez Europę Środkową po Francję. Autorka książek: *Wystarczy przejść przez rzekę* (2014), *Andrzej Mróz. Cudowna, cudowna historia* (2014), *Cztery sztandary, jeden adres* (2017), *Gorsze dzieci Republiki* (2020). Węganka.



CENA 49,90 ZŁ
PROMIAT MEDIA



lubimyczytać.pl

BOOKLIPS.PL IIII

w sprzedaży także



**KUP
TERAZ!**